

Ze Skoczowa do Liberii

Data publikacji: 23.08.2016 7:30

Pisaliśmy już o skoczowianinie, na co dzień funkcjonariuszu w Samodzielnym Pododdziale Prewencji Policji w Bielsku-Białej, który obecnie uczestniczy w misji pokojowej w Liberii. Dziś Artur Walczuk dzieli się z Czytelnikami ox.pl wspomnieniami z podróży do tego dalekiego kraju.

Swą podróż w znane/nieznane, jak sam określił swą kolejną wyprawę do Afryki, sierżant Walczuk rozpoczął od lotniska w Pyrzowicach.

- Na plecach miałem plecak wojskowy, który ma swoją historię. Przeżył misję w Afganistanie wraz z moim przyjacielem. Później przeżył moje misje w Afryce i dwie w Gruzji. Teraz znów jest ze mną. Nie jest wygodny ani dobry jakościowo, ale jest duży. Limit wagi to 23 kilogramy. Plecak miałem dopakowany do granic możliwości, gdyż wiedziałem, że w tym, co przywiozę na plecach będę musiał przeżyć kilka pierwszych dni, a może tygodni.

W przyszłości powinien dotrzeć mój bagaż główny. Za bilety lotnicze, jak i przesłanie bagażu głównego, którego limit wynosi 110 kg płaci ONZ – wspomina Walczuk ciesząc się, że tym razem zdarzyła się rzecz, która nigdy wcześniej nie miała miejsca – Nowy York zapytał z którego lotniska chciałby polecieć. **- Wcześniej zawsze wylatywano z Warszawy. A że najbliższe są Pyrzowice, to je właśnie wskazałem** – cieszy się skoczowianin. Kolejny powód do radości miał po zważeniu bagażu. Okazało się, że ledwo zmieścił się w limicie bagażowym, ale się zmieścił. Żeby jednak nie było zbyt różowo został poinstruowany, że nie ma pewności, że we Frankfurcie jego bagaż zostanie przeladowany do kolejnego samolotu, bo czasu jest mało i zmienia linię lotniczą...

- Mój bagaż główny – rzeczony 110 kg został w domu, bo przez pomyłkę urzędników jeszcze nie został nadany. Wszystko, co mam znajduje się w plecaku, który właśnie zniknął na ruchomej taśmie, a ja zostałem poinformowany, że ten skromny dobytek może zginąć po drodze... - wspomina chwile stresu Walczuk.

A we Frankfurcie niewiele czasu na przesiadkę, trzeba szybko znaleźć bramkę, do której należy się udać, by złapać następny samolot. **- Problem w tym, że to jeden z największych portów lotniczych na świecie. Obsługa tłumaczy mi, że muszę zmienić terminal, i że czeka mnie długa droga. Podążam za wskazówkami i rzeczywiście przekonuję się, że jest to ogromne lotnisko. Byłem już na wielu i jest wielce prawdopodobne, że i tu byłem wcześniej, ale jeśli miałem odlot z tego samego terminala, co przylot, to mogłem nie zwrócić uwagi na rozmiar lotniska. Okazuje się, że aby dostać się na drugi terminal muszę przejechać... kolejką. Niestety muszę znów przejść przez kontrole bezpieczeństwa, a czasu mam niewiele. Po drodze odkrywam kilka nowości. Najpierw trafiam na bramki, które otwierają się tylko po zeskanowaniu kodu kreskowego z biletu. Później potwierdzenie tożsamości poprzez skanowanie twarzy przy czym kamera jest zainstalowana w rozsuwanych drzwiach.**

Udaje mi się dobiec do bramki na czas. Z tego terminala jest dużo egzotycznych lotów, dla tego też jest dożo chaosu. Przy mojej bramce jest spora kolejka. Jednak okazuje się, że prawie wszyscy pomylili bramkę i zostają odprawiony bardzo szybko. Próbuję się upewnić, co z moim bagażem i dowiaduję się, że zgodnie z komputerem, teoretycznie mój plecak został przeladowany do samolotu.

W Casablance egzotyka uderza z całą siłą. Głośno, kolorowo i dużo intensywnych zapachów. Ogromne kolejki do kontroli bezpieczeństwa. Jednakże z uwagi na to, iż jest to kontrola wewnętrzna, a nie kontrola osób wchodzących na lotnisko z zewnątrz, to nie jest ona dokładna i przebiega sprawnie. Wykrywacze metali piszczą niemal cały czas, ale nikt nie zwraca na to uwagi.

Czeka mnie kilka godzin w terminalu. Terminal ten znam dość dobrze. Wiele lat temu był on rozmiarów naszych Pyrzowic, ale rozrósł się znacznie. W środku masa ludzi o wszystkich kolorach skóry. Jest też miejsce modlitwy dla muzułmanów. No i jest to, co dla podróżnych jest aktualnie najważniejsze – słupy z gniazdkami elektrycznymi do podładowania telefonów i laptopów oraz wi-fi.

Samolot do Monrowii nie jest specjalnie przepełniony. Oprócz mieszkańców Czarnego Łądu jest kilku

Azjatów i Chińczyków. To biznesmeni bądź członkowie misji ONZ albo organizacji pozarządowych. Jest też kilka białych osób. A jedzenie zdecydowanie lepsze niż w Lufthansie!

Na lotnisku w Monrowii (które znam równie dobrze, jak tamto w Casablance) nie ma większych niespodzianek i zmian. Jednakże zaskakują mnie beczki z wodą. Każdy podróżny obowiązkowo myje ręce, a następnie mierzy mu się temperaturę przed wejściem na teren lotniska. Pytam o co chodzi i dowiaduje się, że woda jest z chlorem, a mierzenie temperatury, to prewencja Eboli. Tak, przecież niedawno przeszła tędy epidemia gorączki krwotocznej. To zabójcza choroba przenoszona choćby przez dotyk. Teoretycznie epidemia się skończyła, ale nie do końca rzeczywistość musi się pokrywać z tym, co mówią w mediach....

Z lotnika jadę pojazdem misji. Droga nie zmieniła się. Ciągle jest nieoświetlona. Natomiast centrum Monrovii zmieniło się znacznie. Pierwsze, co mnie uderza, to sygnalizacja świetlna. Co prawda nie mogę sobie wyobrazić jak ona działa w prawdziwym ruchu ulicznym, ale uderza mnie już sam fakt, że jest. A ponadto na jednym z głównych skrzyżowań widzę nowy, ogromny budynek. Kierowca informuje mnie, że to biuro podatkowe. Z zaskoczeniem odkrywam, że w tym kraju ktoś płaci podatki! A przynajmniej powinien je płacić, bo mają instytucję powołaną do ich zbierania...

Czar pryska, gdy zjeżdżamy z centralnej drogi, która przecina całą Monrowię w boczną ulicę, która wiedzie do mojego hotelu. Asphalt zniszczony i nigdy nie reperowany. Dziury o niezmierzonej głębokości wypełnione wodą. Samochody toną w nich po osie i pokrywy silników (jest pora deszczowa, więc wody jest sporo). Prędkość podróży spada do około 5 km/h. Tym sposobem i z tą prędkością docieram do York Plaza Hotel. Nazwa brzmi dumnie, ale obawiam się, że rzeczywistość niemile mnie rozczaruje - opowiada pierwsze wrażenia Skoczowianin. I obiecuje naszym czytelnikom kolejne relacje.

(indi)